Nr. 16. Lwów, dnia 20. maja 1892 r. **Wydawnictwa Rok XV.**

GONIEC i ISKRA

(Dziennik dla wszystkich.)

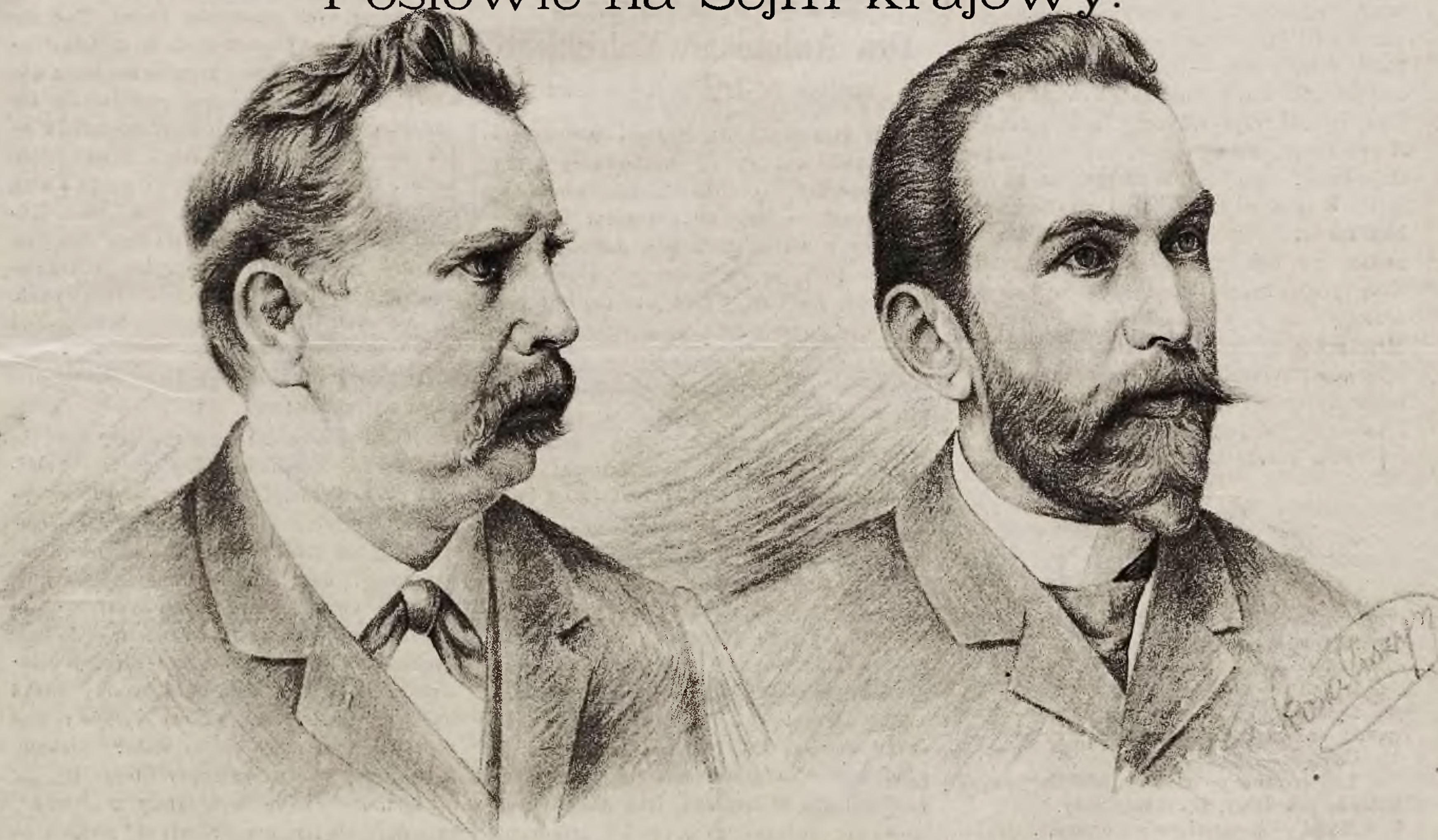
Czasopismo humorystyczno-satyryczno-literackie, illustrowane.

Numer pojedyńczy **20.** ct. w. a — Dodatek osobny dla nieprenumeratorów **10.** ct. w. a.

Goniec i **Iskra** wychodzi: 1., 10., i 20., każdego miesiąca, zaś **dodatek osobny** w każdym miesiącu. Nadto, prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują osobne *bezpłatne premia illustrowane.* Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z **osobnym dodatkiem** i **premiami** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Dodatek osobny** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry" kosztuje **10 ct. w. a.** W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych **krajach**, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*, lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D Chamski

Posłowie na Sejm krajowy.



Michał Michalski i Romuald Palch.

(Rysowane z lwowskiej fotografji E. Trzemeskiego i krakowskiej Bizańskiego).

Coraz częściej się w naszych stosunkach zdarza, że ze sfer polskiego mieszczaństwa wyłaniają się osobistości, których praca i gorliwość obywatelska, wyprowadza na wybitne stanowiska. W Warszawie, tamtejsze mieszczaństwo oddawna już przez swoją pracę i cnoty stało się potężnym czynnikiem w narodowej pracy, a liczne jednostki, obdarzone wyższym talentem, zdobywające naukę i opanowujące przemysł, handel i rzemiosła, zdołało w społeczeństwie polskiem zająć honorowe miejsca i są ozdobą narodu naszego. Lwów w dawniejszych czasach, pochlubić się też może mieszczaństwem swojem, ale później, wśród trosk i nieszczęść, jakie spadały na kraj nasz, mieszczaństwo lwowskie zacichło zupełnie i dopiero w ostatnich czasach, poczęło więcej mówić i więcej działać, a z łona jego coraz częściej wychodziły jednostki patrjotyczne, gorliwe, żądne pracy i umiejące pracować, a przytem, nie cofające się przed ofiarami nawet ze swego spokoju. Do takich, właśnie, ludzi, należy Michał Michalski, poseł na sejm krajowy, radny miasta i pierwszy delegat lwowskiej rady miejskiej. Człowiek to niezwykłej energji, pracy i takiego zasobu wytrwałości, że zespolona siła przeciwników, nie jest go w stanie pokonać. Co prawda, przeciwnicy ci, lubią, jedynie, w mętnej wodzie ryby łowić, a posła Michalskiego, w takiej wodzie nigdy nie ma. Jako obywatel, poseł Michał Michalski, może tylko wzbudzać zazdrość tych, którzy chcieliby zniszczyć jego popularność wśród obywatelstwa miejskiego, ale na czystym charakterze jego plamy nie odnajdą, ani śladu, bo jej tam, rzeczywiście, nigdy nie było. Poseł Michalski, nie jest, ani człowiewiekiem naukowym, ani utalentowanym, ale jest dzielnym rzemieślnikiem na wielką skalę, wzorowym obywatelem i polakiem o patrjotyzmie szczerym, bez deklamacji, który za zadanie położył sobie: mało gadać, a dużo robić. Robi też poseł i radny Michalski za tuziny frazesowych patrjotów i nie szuka z tego, ani sławy, ani reklamy, ani rozgłosu, ani nawet wdzięczności od tych, którym dobrze robi... A robi, rzeczywiście dużo dobrego! Trzeba znać bliżej te nasze stosunki, te nasze potrzeby, te ciche troski

podupadłych rodzin naszych, aby wiedzieć, ile tam dobrego zacna ręka Michalskiego zdziałała... To też na nic się nie zdały zazdrosne głosy i kalumnie puszczane przez zawistnych przeciwników Michalskiego i można o nich powiedzieć, trochę zapewne banalnie, ale niemniej prawdziwie: złe głosy nie poszły pod niebiosy, a popularność i dobre imie Michalskiego, skrzepły jescze więcej w sile i w szacunku ogólnym...

Umieszając dziś portret posła sejmowego m. Lwowa i pierwszego delegata naszej rady miejskiej, dajemy tylko wyraz tej ogólnej sympatji, powszechnego uznania i szacunku dla pożytecznej, rzetelnej i patrjotycznej pracy Michała Michalskiego, który jest zaszczytem i ozdobą lwowskiego mieszczaństwa.

Romuald Palch, którego wizerunek podajemy obok posła lwowskiego, jest posłem na Sejm z okręgu miejskiego Jasło i należy także do klasy patrycjuszów mieszczańskich. Z zawodu jest aptekarzem, a w Jaśle w dalekiej okolicy cieszy się niezwykłym, jak to powiadają, mirem i zaufaniem całego obywatelstwa, na podstawie którego pozyskał też Romuald Palch mandat poselski. W sprawach fachowych, praktycznej ekonomji i przemysłu krajowego, jest poseł Romuald Palch dzielną siłą — zna on wybornie nasze stosunki i wie doskonale, co nam dolega, co nas trapi i, czego nam potrzeba. Z przekonań, należy do umiarkowanych postępowców, mając przedewszystkiem na oku interesa moralne i materjalne własnego społeczeństwa. Skromny w życiu, usuwający się zawsze na bok, jest poseł Palch przykładem pracowitości i rządności, co się też okazuje i na jego stosunkach materjalnych. Mieszkańcy tamtejszego okręgu miejskiego nie mogli zrobić lepszego wyboru, bo rozumem praktycznym, pilnością, pracowitością i szczerym patrjotyzmem, reprezentuje poseł Palch godnie mieszczaństwo nasze.

Od ręki.

= Ze słownika „fin de siécle“:
Argument — pięść.
Anioł — żona przed ślubem.
Djabeł — taż sama... po.
Dynamit — środek, który w obecnych czasach najłatwiej zbliża nas do... nieba.
Gazeta — studnia plotek.
Ludożerstwo — sposób „lubienia“ swych bliźnich, tak dobry, jak każdy inny.
Miedź — materjał na współczesne... czoła.
Miłość — ciepła woda.
Wiosna — czas cielęciny...
Życie — użycie..

= Dzisiejsza polityka.
Dużo piwa, wiele wrzasku,
Krzyku i miotania;
Kawał jedzie na kawale,
Łotrostwem pogania!!!

= Ostrzeżenie.

Proszeni jesteśmy o zamieszczenie następującej notatki: „Jeden z naszych znajomych posiadał bardzo dlań cenną fotografję, robioną jeszcze przed dwudziestu przeszło laty. Ponieważ fotografja ta była bardzo małych rozmiarów. a przytem zniszczona latami postanowił powiększyć ją i w tym celu udał się do jednego z fotografów lwowskich, który podjął się tej roboty Chodziło jeszcze tylko o oznaczenie wielkości, do jakiej fotografja miała być powiększoną. Zostawiając tę pamiątkę w rękach fotografa, uprzedził go właściciel, jaką do niej przywiązuje wartość i prosił o uwagę. Tymczasem fotograf na tyle lekceważył sobie polecenie swego klienta, iż powierzoną mu fotografję zatracił. a na żądanie, by takową bądź co bądź starał się odszukać, odpowiedział arogancko, że nie wie, gdzie się podziała, ale że gotów jest zapłacić cenę fotografji. Wszelkie prośby o staranne poszukanie tejże nie odniosły skutku“.

Trzy piosenki.

(Z pieśni wiosennych V. Hugo.)

Cyt!.. Śród sadów flet miękko
Westchnień roje porusza;
Najmilszą piosenką,
Jest piosenka pastusza...

Wietrzyk słodki wiosenką
Nad wód taflą się znęca;
Najweselszą piosenką,
Jest piosenka ptaszęca.

Przyszła miłość z wiosenką,
W sercu dziewcząt — czar gości,
Najcudniejszą piosenką
Jest piosenka... miłości!!

H. N.

Złote słowa
Dra Antoniego Małeckiego
na jego 50-letnim jubileuszu.

W tym czasie dr. Małecki obchodzi 50-letni jubileusz swojej naukowanej pracy. Źle mowimy: „obchodzi“, bo, właściwie, „obchodzą“ — profesor, bowiem Małecki, zaledwie z wielką trudnością dał się nakłonić do tych owacyj, których osobiście i z zasady, nie lubi. Przed laty daliśmy portret tego znakomitego polskiego uczonego, w którym niewiadomo, co więcej podziwiać, czy wiedzę głęboką, czy skromność, czy zdrowie, prawdziwe zdrowie w ocenianiu. naszych stosunków. Portret ten rysował dla naszego pisma artysta Wyczołkowski, dziś przebywający w Warszawie. Więc od kilku tygodni dr. Małecki, jest przedmiotem publicznych owacyj, urządzanych mu przez instytucje i towarzystwa.

Ze względu na zakres naszego pisma, nie możemy tego wszystkiego powtarzać za pismami codziennemi, ale przedewszystkiem przyłączywszy się całą duszą do tych najzasłużeńszych oznak czci, jakie są przynoszone w darze do stóp sędziwego jubilata, podajemy czytelnikom naszym ustępy z odpowiedzi dra Małeckiego, jaką dał na przemówienia podczas uroczystości urządzonej w lwowskim uniwersytecie, jako sweme dawnemu prof-sorowi. Pochwalmy się też troché sami przy tej sposobności... Po dziennikarsku, krótko, powiedzieliśmy coś podobnego, mówiąc w poprzednim numerze o naszych obchodach konstytucyi 3. maja...

Ale oto *złote słowa* jubilata Małeckiego, ze łzami w oczach od wzruszenia, powiedziane:

„Uroczystość taka, jak dzisiejsza, ma jednę posępną stronę, przypomina, że się stoi u kresu życia. Jeżeli Bóg je przedłuży, to wielka Jego łaska. Lecz choć uroczystość ta ma jednę posępną barwę, to, jednak, jest ona wzniosłą, jest dowodem, że praca znajduje uznanie.

„Wiecie panowie, że przybyć nie chciałem do tej sali, że chciałem uniknąć wszelkich owacyj i dlatego się opierałem. I dziś przybywszy tu, mniemam, że panowie swemi mowami i nadaniem mi rozmaitych godności, nie chcieliście uczcić mnie, jako osobę, lecz chcecie oddać hołd nauce, pracy umysłowej. usiłowaniom około rozszerzenia i rozwoju języka, piśmiennictwa i ojczystej literatury naszej. To chcieliście podnieść, uczcić i młodemu zastępowi zgromadzonemu tu w sali przypomnieć znaczenie literatury i nauki piśmiennictwa polskiego. Z tego tylko powodu cieszę się, że teraz kolej przyszła na mnie. W pierwszej połowie bieżącego stulecia ogół pojmował znaczenie literatury. Usiłowania na tem polu może nie były zawsze szczęśliwe, ale ogół społeczeństwa zawsze rozumiał, że w naszem wyjątkowem położeniu, literatura jest jedynym łącznikiem wszystkich dzielnic naszej Ojczyzny. Dla tego też, kto mógł, pracował piórem, a kto nie mógł, *wspierał literaturę, interesował się nią, słowem czytał.*

W drugiej połowie naszego wieku, rzeczy uległy zupełnej zmianie, nastąpiła obojętność dla literatury. Społeczeństwo całe jest zmaterjalizowane, że użyję tego trywialnego wyrazu zblazowane, nikt nic nie czyta. Żyjemy w wieku surogatów, jemy surogaty, ubieramy się w surogaty, pokarm duchowy czerpiemy z surogatów, a im więcej społeczeństwo jest wykształcone, tem więcej tych surogatów używa. Pod surogatem duchowym rozumiem to, że dziś dzieła prawdziwie naukowe, gruntownie rzecz wyczerpujące, napisano serjo, czytelników nie znajdują. Jest pewne grono pracowników — jak na nasze stosunki, Bogu dzięki, dość liczne, które dzieła te czytuje i naukę z nich czerpie, ale pisze ono tylko dla siebie. Kilkadziesiąt egzemplarzy dzieła tego rozejdzie się więc między tymi uczonymi, kilkadziesiąt egzemplarzy prześlicznie oprawnych, ale nieczytanych, zdobić będzie, jako piękny mebel salonowy, a reszta zalegać będzie półki księgarskie, aby prędzej, czy później pójść na makulaturę.

Ogół społeczeństwa, natomiast, żywi się francuskimi wyrobami lichej marki i literaturą perjodyczna. Daleki jestem od występowania przeciw wszelkiej literaturze perjodycznej, nie stosuję tego dziennikarstwa politycznego. Jest ono koniecznie potrzebne, stało się niejako drugą naszą naturą i stało się tak niezbędnem, jak powietrze do oddychania. Nie robiłbym też zarzutu beletrystycznym czasopismom. ale pytam: dokąd one dziś zaszły, jaki pokarm duchowy dziś podają? A dlaczego się to stało? Dlatego, że odbiegły one od twierdzy literackiej, że to są hufce, które wybiegłszy z obronnej twierdzy, błądzą, nie wracają do niej, a co robią, to Bóg wiedzieć raczy.

Więc dziękuję Wam panowie, że dzisiejszą uroczystością uczciliście znaczenie prawdziwej literatury, że zachęcacie młodzież do oddania się jej. A dziś na tem polu z łatwością pracować można, mając tak ważną pomoc w tej pracy, jak jest krakowska Akademja Umiejętności. Literatura jest to jedyny czynnik, który nas wszystkich polaków łączy. — Niech Bóg wie, jak nas wszystkich posiekają, to literatura zawsze nas połączy i zjednoczy, wzmocni i pokrzepi. Jest ona też jedynem polem, na którem możemy stanąć na równi z ościennymi narodami, jeżeli nie ilością, to przynajmniej jakością.

Niech więc każdy pracuje na tem polu tak, jak może, a potężnie wzrośniemy.

Niektórzy sądzą, a w wielkim znajdują się błędzie, że przypomnimy się Europie przez rozmaite manifestacje, obchody i rocznice. Nie rzucam na nie kondemnacji,

myśl to jest piękna, którą szanuję i uwielbiam, lecz, niestety, tem Europie się nie przypomnimy.

Uwagę jej możemy zwrócić na siebie pracą. Działając dodatnio na polu literatury zwrócimy na siebie uwagę innych narodów a wtedy będziemy mogli mieć prawo myśleć o urzeczywistnieniu naszych pragnień".

Era dynamitowa.

Co dziś czci francuz, turek, czy anamit?
— Dynamit!
Czego się lęka od nocy do świtu?
— Och, dynamitu!..
I o czem myśleć będzie całe życie?
— O dynamicie..
Bo dziś się era rozpoczęła nowa
— Dynamitowa!..

Dlaczego prawa, a nie lewa?

Dlaczego posługujemy się ręką prawą, a nie lewą?

Jeżeli komu przyszło to pytanie do głowy, prawdopodobnie odpowiedział sobie, że jest to tylko skutek przyzwyczajenia. Odpowiedź naturalna, ale niedostateczna; dlaczegoż, bowiem, przyzwyczajeniu temu ulegają wszyscy?

Wielu fizjologów zajmowało się tą kwestją i rozwiązywało ją mniej, lub więcej trafnemi teorjami. Jedni z nich sądzą, że posługujemy się przeważnie ręką prawą dlatego, że prawa połowa ciała naszego jest silniejszą od lewej. Ba! ale czy ręka prawa jest dla tego więcej używaną, że jest silniejszą, czy też jest silniejszą dlatego, że więcej używana?

Drudzy przypuszczają, że krew lepiej krąży po stronie prawej ciała, aniżeli po lewej. Przypuszczenie to pozbawione jest podstawy poważnej. Pewien anatom wiedeński używanie ręki prawej, lub lewej przypisuje układowi wielkich arteryj, wychodzących z aorty. Układ ten, rzeczywiście, jest odmienny, ale nie tak dalece, jak wymagałaby tego powyższa teorja; tem bardziej, że bardzo często spotyka się ludzi, używających ręki prawej z układem arteryj, który teoretycznie powinienby ich skazać na używanie lewej.

O rozwiązanie tego zadania pokusił się świeżo uczony amerykański, Wilson, syn człowieka używający lewej ręki w książce, jak na taki przedmiot dość obszernej, gdyż obejmującej przeszło 200 stronnic druku.

Przedewszystkiem, nie ulega zaprzeczeniu, że w czasach nawet najodleglejszych ludzie używali zawsze ręki prawej. Dowodzą tego zabytki sztuki przedhistorycznej. Badając narzędzia krzemienne człowieka jaskiniowego, starając się, zwłaszcza, zrobić takie same, przekonywamy się, że robili je ludzie, używający ręki prawej. Krzemień przeznaczony do obrobienia, trzymany był w rece lewej, a narzędzie obrabiające w prawej. Wszakże zdarzają się wyjątki i niekiedy można rozpoznać pracę ręki lewej. To tylko dowodzi, że po wszystkie czasy istnieli mańkuci.

W Biblji znajdujemy dokument historyczny, wykazujący stosunek praworękich do mańkutów. Powiedziano tam, że w plemieniu Benjamina na 36,000 walczących było 700 procarzy, używających ręki lewej. Należy tu zanotować, że stosunek ten od owego czasu nie wiele się zmienił, gdyż wiedeński professor Hyrtl w rasach europejskich wykazał ich 20 procent.

Lecz zkąd pochodzi powszechna skłonność do posługiwania się więcej ręką prawą, niż lewą? Wilson przypuszcza, że jest ona wrodzoną i z tego powodu dzieci dzieli na trzy klasy: objawiających od początku skłonność do używania prawej, innych — do używania lewej i nie mających żadnej skłonności w jednym i drugim kierunku. Te ostatnie stanowią większość i używanie wśród nich ręki prawej, jest rezultatem wychowania.

I rzeczywiście, większość dzieci powoli objawia skłonność do posługiwania się ręką prawą. Wilson notuje 2.187 gestów dziecka w pierwszym roku życia, z których w 585 razach posługiwało się ono ręką prawą, 568 lewą, i 1.034 rękami obiema. Dla ruchów nie wymagających siły, dziecko posługuje się obojętnie ręką jedną, lub drugą, ale gdy chodzi o ruchy, do których potrzeba siły, to skłonność do użycia ręki prawej przeważa.

Skłonność tę następnie rozwija wychowanie, nakaz rodziców i nauka pisania.

Córka Socjalisty.

Powieść z angielskiego.

(Ciąg dalszy — patrz numer 15).

ROZDZIAŁ XV.

Od tego wieczora, Lashmar poddał się już bez oporu urokowi lady Carminow, a Klarysa okazywała mu coraz większą życzliwość. Jego początkowe chłodne obejście się dotknęło ją: nie mogła mu jeszcze zapomnieć doznanego niegdyś zawodu — i jedynie drogą zupełnej uległości i skruchy, mógł jej względy pozyskać. Teraz wydało jej się, że młody lord wchodzi na tę drogę i zaczęła mu przebaczać. Słodkie uczucie tryumfu opromieniało ją i nowego czaru dodawało jej wdziękom.

— Lady Carminow z każdym dniem piękniejszą się staje — rzekł Nestorius, który był znawcą w tym względzie.

— Tak, jest bardzo piękną — odparł Lashmar — ale nie sądzę, aby to była piękność w pańskim guście. Pan wolisz coś bardziej oryginalnego, naprzykład tę bladą dziewczynę z czarnemi oczami — lektorkę mojej matki...

— Lektorka pańskiej matki nie jest przez pół tak piękną, jak lady Carminow.

— Jednak jesteś pan nią zajęty, to dowód, że umie być interesującą.

— Dla mnie tak.

— Dla mnie nie... Jest w niej coś odpychającego. Nienawidzę kobiet tego rodzaju: skryte, dumne, zagadkowe, dla tego pyszne i samolubne... Przytem — dodał — ma ona burzliwą krew w żyłach, pomimo całego zewnętrznego spokoju, krew najskrajniejszego demagoga i krew hiszpanki, która dom ojcowski porzuciła dla kochanka. Strzeż jej się Nestoriusie!

— Będę strzegł, ale jej, będę ją bronił od złego, o ile zdołam, ale sam nigdy złego lękać się od niej nie będę.

— Słuchajcie go, o bogi! — zawołał Lashmar szyderczo. — Otóż to usposobienie poety... Widzi wszystko w świetle własnej wyobraźni.

Była chwila, w której Lashmar uważał Nestoriusa za współzawodnika do serca lady Carminow, ale teraz przekonał się, że nie potrzebował lękać się z tej strony niebezpieczeństwa i wydało mu się, że samo przeznaczenie chce tego, aby został mężem pięknej Klarysy!

— Wolę być jej drugim mężem, niż pierwszym — dodał po namyśle — Nazwisko margrabiny Carminow nie będzie źle brzmiało do mojego. Jestem wdzięczny za to temu pijakowi, że uszlachcił Klarysę...

— Oświadczę się jutro — dodał.

Tak mówił, jednak się nie oświadczał. Coś go instyktownie od tego stanowczego kroku odpychało. Gniewał się sam na siebie, że nie jest bardziej rozkochanym.

— Widocznie mam zimną naturę — myślał — nie mogę sobie niczem innem tej opieszałości wytłómaczyć. Usiłował nawet wmówić w siebie, że ma w ogóle wstręt do kobiet i że gdyby nie nalegania matki, zostały prawdopobnie starym kawalerem. Związek z lady Carminow był dla niego pod każdym względem pożądanym, a jednak odwlekał z dnia na dzień wymówienie tego słowa, które go jej dozgonnym niewolnikiem uczynić miało.

— Hubert... ten był szczęśliwy — myślał, chodząc pewnego ranka po bibliotece.

Przypomniał sobie postać brata, siedzącego w fotelu przy biurku, jedną chudą, delikatną ręką podpierającego blade czoło, gdy druga spoczywała na otwartej księdze greckiego, lub rzymskiego poety, albo Szekspira. A obok niego ta dziewczynka w białej sukience, pisząca zadane ćwiczenie, lub przeglądająca książkę z obrazkami u stóp swego dobrodzieja. Zdawali się być tak szczęśliwi razem, choć Wiktor nigdy ich szczęścia zrozumieć nie mógł.

A teraz obecność tej wychowanki brata w domu drażniła go. Spotykali się bardzo rzadko, jednak ilekroć znalazł się na schodach, lub na korytarzu wiodącym do pokoju matki, albo do tego pokoju wchodził, zawsze spodziewał się ją zobaczyć...

Wmówił w siebie, że to jest przewrotna, niebezpieczna intrygantka. Jak prędko naprzykład zdołała usidlić Nestoriusa, jak usidliła jego brata, gdy była jeszcze małem dzieckiem, a teraz gadzina urosła i żądło jej stało się tem jadowitsze.

ROZDZIAŁ XVI.

Było już po herbacie i goście porozchodzili się do swoich pokoi. Z niewielkiego tylko saloniku dochodziły dźwięki fortepianu, towarzyszące cienkiemu bardzo sopranikowi. Lord poszedł więc prosto do biblioteki, chcąc pół godzinki spokojnie poczytać, nim będzie czas przebrać się do stołu.

Tam palił się ogień na kominku, świeciła jedna tylko lampa. Wszedłszy, Lashmar ujrzał w cieniu dwie postacie, przechadzające się zwolna za oknami.

Zbliżył się do okna, otworzył je i wyjrzał. Kobieta i mężczyzna stali opodal, zajęci żywą rozmową. Kobietą w czarnej sukni, z odkrytą głową, smukłej, wysokiej kibici, była Stella, mężczyzną Nestorius.

Mówiąc do niej, pochylał się tak, że Lashmarowi zdawało się, jakoby usta jego dotykały jej włosów. Ręka jego spoczywała na ramieniu Stelli i widocznem było, że ją o coś prosi, coś jej gorliwie przekłada.

Nagle Stella wymknęła się z przytrzymującej ją dłoni, uklękła i namiętnym, szybkim ruchem przycisnęła rękę Nestoriusa do ust, poczem równie szybko podniosła

Nie może zapomnieć...



— Podług tego rachunku, ja już to zapłaciłem rok temu...
— Czy tylko nie mylisz się? Czy tylko jesteś pewny, mój kochany?...
— Jakto, czy jestem pewny? Ależ ja do tego czasu nie mogę zapomnieć, żem zrobił takie głupstwo!...

się i odbiegła, uchodząc na drugi koniec tarasu.

Tylko południowa krew mogła w tak gwałtowny sposób uczucia swoje objawiać. A jednak, aczkolwiek dziwnym był ten postępek, nie wyglądał ani nieszlachetnie, ani teatralnie. Było w nim coś szczerego, nieobliczonego naprzód. Lashmara, który tę dziewczynę widywał zawsze milczącą, posągowo nieruchomą niemal, ten nowy objaw jej charakteru zdumiał do najwyższego stopnia.

— Czy zwarjowała? — pomyślał gniewnie — Czy też gra jakąś mądrze obmyśloną komedją. Tak, to rzecz niewątpliwa, że chce usidlić podstarzałego entuzjastę.

Wyszedł na taras. Jesienna mgła podnosiła się nad parkiem. Noc rozpinała swe potężne ciemne skrzydła nad doliną i rzeką, ogarniając wszystko fałszywym pozorem spokoju, ciszy i powagi.

W Lashmarze krew kipiała. Co go tak właściwie gniewało — nie dochodził.

— Komedjantka! — szeptał — niepoprawna komedyantka! Takie to kobiety doprowadzają mężczyzn do szaleństwa i gubią ich. Wprowadzają przewrót w rodziny i społeczeństwo.

Widział Stellę stojącą na końcu tarasu. Nestorius wrócił do domu, a ona została samotna, patrząca w mrok zapadającej nocy.

Lord Lashmar nie był w stanie się opanować; potrzebował koniecznie dać ujście szalejącej mu w piersiach burzy.

Zbliżył się szybko do miejsca, gdzie stała Stella, nie mogąc przecież dojrzeć jej twarzy, bo była odwróconą.

— I cóż — zaczął szorstko — wypróbowałaś dobrze naszego męża stanu, panno Boldwood. Jest to człowiek nadzwyczaj wrażliwy na pochlebstwa — zwłaszcza pochlebstwa kobiet i pani czuła scenka musiała go zachwycić.

Odwróciła się szybko, blada jak śmierć i spojrzała nań wielkiemi, czarnemi oczyma, które były łez pełne.

— Podsłuchiwałeś nas i szpiegowałeś z jakiegoś kąta, lordzie Lashmar? — rzekła pogardliwie.

Od dawna uprzedziła się, że ten człowiek jej nienawidzi, że lekceważy ją i uważała sobie za obowiązek odpłacać mu podobnemiż uczuciami. O ile namiętnie kochała swego dobroczyńcę, o tyle nienawidziła jego brata. Gotowa była wybuchnąć też nienawiścią przy najlżejszem podrażnieniu z jego strony, a teraz miała niemal prawo do tego.

— Nie podsłuchiwałem, ani nie szpiegowałem — odpowiedział Lashmar dumnie. — Zbliżyłem się do okna, aby zobaczyć, kto spaceruje, a było to w chwili, kiedyś pani rzucała się do nóg naszego wielkiego męża i całowała jego rękę. Bardzo ładnie było to zrobionem i nie wątpię, że rzecz odniesie pożądany skutek.

— Tak? A jakiż to skutek według pana ma odnieść?

— Moja droga panno Boldwood, jeżeli młoda panna rzuca się do nóg mężczyzny, wniosek to jasny, że go chce nagiąć do swoich pięknych stópek. Jest to najkrótsza droga rozwiązania sytuacji, potrzebującej pośpiechu. A kiedy tą młodą panną jest taka, której wdzięki są o wiele większe, niż jej majątek, a z drugiej strony znajduje się bogaty wdowiec, wrażliwy, ale niezdecydowany, nie można sobie wymyślić lepszego sposobu i zażyłaś pani naszego przyjaciela Nestoriusa w sposób najwyborniejszy.

— Tak pan myślisz!... Myślisz, że chcę złapać szlachetnego tego człowieka na wędkę jego dobrego serca... że chcę zdobyć sobie męża?

— Cóż innego mam myśleć, zobaczywszy to, co widziałem.

— Pochopnym pan jesteś do wniosków, lordzie Lashmar.

— Nie można być pochopnym tam, gdzie wnioski mówią same za siebie. Czy myślisz pani, że nie rozumiem sztuki, którą grasz od trzech tygodni? Że nie zauważyłem twojej taktyki, twoich samotnych przechadzek po parku i przypadkowych spotkań z gościem mojej matki, twoich utyskiwań na los. żalów za ojcem, którego zbyt dawno straciłaś, ażebyś istotnie mogła mieć jakie uczucie dla niego, bo chyba to tylko pamiętasz, coś na jego stracie zyskała.

— Com zyskała! — wykrzyknęła Stella — czy to, że jem chleb zależności w domu pańskiej matki! Pan to nazywasz zyskiem,..

— W każdym razie lepsze to jest, niż być robotnicą w fabryce, czem według wszelkiego prawdopodobieństwa pani byłabyś została, gdyby twój ojciec żył.

— Gdyby żył! Czy pan wiesz na pewno, że umarł?

— Wiem, co wszyscy wiedzą, że zginął, chcąc uratować ciebie panno Boldwood — odpowiedział Lashmar, o wszystkich zapominając względach w uczuciu niepohamowanego gniewu. — I to wiem, że moj brat, który był wart stu takich demagogów, naraził swe życie, aby ocalić dziecko, którego nigdy nie widział. Masz pani za co być mu wdzięczną...

— Umarł — mój ojciec umarł! — wyjąkała Stella. — Brat pana, lordzie Lashmar, powiedział, że pojechał gdzieś daleko. Gdym była starszą, myślałam, że porzucił Angliją, bo życie zbyt ciężko mu to było i że kiedyś wróci po mnie, gdy mu lepiej wieść się będzie. Łudziłam się nadzieją, że on tam dobije się majątku, że czeka, aby się módz ze swem jedynem dzieckiem połączyć, a pan mi mówisz, że on zginął w tę noc pożaru — zginął, ratując mnie. O! to była okrutna, niegodna rzecz tak mnie zwodzić! — wykrzyknęła namiętnie.

— Zwiódł cię tak ten właśnie twój dobroczyńca, który był dla ciebie więcej niż ojcem, panno Boldwood.

— Tak, ale gdy go już nie stało, gdym była starszą, zdolniejszą do zniesienia takiego ciosu, gdy miałam wieść ciężkie i gorzkie życie, gdy nie było nikogo, coby się losem moim zajmował, dlaczego wtedy nie powiedziano mi prawdy? Ani pan, ani lady Lashmar nie troszczyliście się o mnie tak dalece, abyście mi bólu oszczędzić chcieli. Pozwoliliście mi tak żyć z roku na rok, karmiąc się fałszywą nadzieją, nie dbając o to, co będzie ze mną, gdy się w końcu o marności tej nadziei przekonam?

— Był to błąd ze strony mojej matki i mojej — rzekł Lashmar — powinniśmy byli powiedzieć ci prawdę, panno Boldwood. W każdym razie i na tem zyskałaś

pani w pewnej mierze, ponieważ patetyczna twoja sytuacja zrobiła głębokie wrażenie na jednym z gości naszych, a ostatni rys twojego tragicznego losu — wiara twoja w istnienie ojca w tyle lat po jego śmierci, podbiły zupełnie tkliwe serce szanownego pana Nestoriusa.

— Ten gość państwa okazał się bardzo dobrym dla mnie i z głębi serca wdzięczną mu jestem. ale jeżeli pan sądzisz, żem usiłowała zyskać jego względy...

— Tak... Jest to przekonaniem mojem, również, żeś pani prawie wygrała partję i przewiduję już przyjemną chwilę, gdy będę mógł powinszować pani rychłego uwieńczenia dzieła pomyślnym skutkiem.

— Czy to wszystko, co pan mi masz do powiedzenia, lordzie Lashmar?

— Tak, wszystko, dopóki nie złożę pani wyżej wspomnianych powinszowań.

— Dziękuję panu za tyle względów i dobroci. Równa się to niemal tej łaskawości, z jąką wypędziłeś mnie pan z biblioteki przed siedmiu laty.

— O! wtedy byłaś pani dzieckiem i przytem należy dodać, bardzo nieprzyjemnem dzieckiem. Spodziewam się, że nie masz pani do mnie żalu po tylu latach za to, że się trochę za szorstko znalazłem.

— Nie mam żalu do pana. Nie obchodzi mnie pan na tyle, ile twoje postępowanie dotknąć mnie mogło. Nawet to okrucieństwo, z jakiem usiłowałeś zdławić we mnie wszelką ambitniejszą myśl, wszelką nadzieję, wszelkie marzenia, gdy śmierć brata pańskiego taki cień na moje życie rzuciła — to rzecz zwyczajna. Nadto panem gardzę, by czuć żal do pana.

— Gardzisz mną pani! To silne wyrażenie...

— Nie ma jednak w języku ludzkim dość silnego wyrazu na odmalowanie tego, co czuję, gdy wspomnę, jak się pan ze mną obszedłeś, gdy porównam ciebie i twego brata.

— O! widzisz pani różnicę, nieprawdaż? Ale Hubert był ulepiony z innej, niż ja gliny. On powinien był urodzić się kobietą. Ja jestem mężczyzną.

— Nie chełpiłabym się z tego, gdybym była panem. teraz, kiedyś tak nie po męzku znieważył bezbronną dziewczynę.

— Bezbronną! Jakto! Teraz, kiedy masz pani w Nestoriusie obrońcę i wielbiciela, przyszłego małżonka, jeżeli do końca będziesz tak zręcznie grała swoją rolę ofiary miotanej przez fale losu. Nie mów pani o bezbronności...

Stella odwróciła się i poszła szybko ku domowi; on za nią równie szybko pospieszył i szklanne drzwi biblioteki przed nią otworzył. Był to czyn grzeczny, ale przypomniał mu się też fakt spełniony przed siedmiu laty, kiedy otworzył przed nią drzwi i kazał jej się „wynosić“...

I ona nie zapomniała o tem również. Odwróciła się na progu i spojrzała na niego rozpłomienionemi oczyma.

— Dla czegóż nie każesz mi się pan wynosić — rzekła — ale na ten raz rozkaz jest zbytecznym. Wynoszę się sama.

I zaśmiawszy się gniewnie, krótko, zniknęła w głębi pokoju.

— A to djablica! — mruknął Lashmar. — To ta hiszpańska krew jej matki i krew Boldwooda! Ładna mieszanina, na honor!

Wrócił znow na taras i chodził po nim tam i napowrót, dopóki nie rozległ się dźwięk dzwonka, przypominającego, że obiad się zbliża. Wówczas pobiegł do swego pokoju, przebrać się co prędzej.

— Co ona miała na myśli, kiedy mówiła, że się wyniesie? — mówił do siebie, zawiązując węzły białej krawatki, który się niesfornie stroszył.

ROZDZIAŁ XVII.

Nigdy lord Lashmar nie czuł się mniej usposobionym do odgrywania roli gospodarza, jak tego wieczora. Był tak rozgniewany, że potrzebował silić się na to, aby być choć przyzwoicie grzecznym.

Jedna jeszcze pociecha czekała go.

— Czyś wiedział, że Nestorius odjeżdża? — spytała go matka na kilka minut przed obiadem.

— Nie. Czyżby wyjechał?

— Tak przed godziną. Przysłał mi przepraszający za tę nagłość bilecik, tłómacząc się ważnym interesem.

— Musiał zapewne otrzymać jakąś ważną depeszę. Nie miałem najmniejszego pojęcia, że wyjeżdża

— Ach! jaka to szkoda? — westchnęła lady Carminow. — W ostatnich dniach był nieco roztargnionym, ale w każdym razie to jeden z najprzyjemniejszych ludzi.

Lady Lashmar wcześniej niż zwykle odeszła do siebie, a gdy około dziesiątej młody lord szedł do salonu, usłyszał tak gwałtowne dzwonienie w pokoju matki, że przestraszony pobiegł tam co żywo zobaczyć, co się stało.

— Gdzie Stella? — pytała milady.

— Nie wiem. Czy nie stawiła się na czas? Trzeba posłać po nią.

— Nigdzie jej znaleść nie można. Miała przyjść czytać mi o wpół do dziesiątej. Po raz pierwszy tak się opóźniła samowolnie.

— Staje się zbyt wielką panią, żeby słuchać rozkazów. A może pojechała z Nestoriusem?

— Co?!... co przez to rozumiesz?

— Przecież niepodobna, aby mama nie wiedziała, co się pod jej oczami działo. Nestorius jest wrażliwy, dziewczyna sprytna. Chciała sobie złapać bogatego męża i kto wie, czy jej się nie uda? Jutro rano już mogą być po ślubie.

— Nestorius nie byłby takim warjatem!

— Kto wie? Nie byłby pierwszym, który z miłości szaleństwa się dopuścił. Jeżeli uciekła, może mama być pewną, że on jej w tej ucieczce dopomógł. Nie byłaby tak odważną, aby sią puszczała w świat sama jedna, bez żadnego doświadczenia życia, bez przyjaciół, bez pieniędzy. Ale czy to już rzecz pewna, że jej nie ma? Może się tylko zasiedziała u starego Wernera.

— Przekonamy się o tem zaraz — odpowiedziała milady, dzwoniąc.

W tej chwili weszła Barker z najszerszemi wiadomościami.

Widziano Stellę wychodzącą z zamku, z podróżnym workiem w ręku. Jedna z pokojówek spotkała ją tak na tylnych schodach i zapytała gdzie idzie?

— Odchodzę — odpowiedziała Stella.

Pokojówka wywnioskowała ztąd, że może milady odprawiła Stellę i nie uważała za rzecz potrzebną mówić z ludźmi o tem, dopóki nie usłyszała, że ją szukają.

— Idjotka! — rzekła lady Lashmar. — I o którejże godzinie ta dziewczyna spotkała Stellę wychodzącą.

— Przed dziewiątą.

— Dobrze, możesz odejść — rzekła milady sucho i posłuszna Barker odeszła.

— Nestorius wyjechał o siódmej prosto

W porę...



— Pani! pozwól u nóg twoich złożyć moją gorącą miłość...

— Bardzo dobrze, bo jest mokro, a mnie zawsze od wilgoci zimno w nogi...

Tylko...



— Prawda, moja droga, jaki to mądry człowiek ten pan Izydor...

— Tego nie wiem — ja go tylko znam z jego recenzyj teatralnych...

W restauracji.



— No, to ładna rzecz!... Wszak ty mój przyjacielu pijany jesteś i usługujesz w restauracji.. Proszę cię, cobyś ty zrobił, gdybym ja był na twojem miejscu?...

— Jabym z takim cymbałem nawet nie rozmawiał...

na stację. Nie może zatem mieć nic wspólnego z ucieczką tej dziewczyny — rzekła po chwili do syna.

— Mógł ją do tego namówić, ułożyć się z nią, że się spotkają w Londynie.

— Nie... mylisz się, Wiktorze. — Nestorius jest przedewszystkiem człowiekiem szlachetnym; nie chciałby wyrządzić krzywdy tej dziewczynie nawet myślą. Nie skompromitowałby ją taką skandaliczną ucieczką, ani by też tak z gościnności pod moim dachem nie skorzystał. Tu musi być ktoś inny.

— Nikt inny być nie może. Straszna rzecz pomyśleć, co się może stać z tą dziewczyną... Sama, bezbronna, nie mając, ani grosza, nie znając świata, nie wiedząc gdzie się zwrócić po chleb i przytułek?

Parę godzin temu Lashmar kipiał wściekłym gniewem na Stellę, obszedł się z nią, jak z awanturnicą i intrygantką ostatniego rzędu, a teraz, kiedy zniknęła, może na zawsze, serce mu się przejęło niepojętą, dziwną litością dla tej biednej, samotnej, na pastwę przewrotności i złości ludzkiej rzuconej dziewczyny.

— Musieliśmy być dla niej piekielnie okrutni, skorośmy ją do tego kroku przywiedli — rzekł w końcu.

— Nie wiem, co rozumiesz pod wyrazem okrucieństwa; od dwóch lat, odkąd jest moją lektorką, wiodła życie prawie wielkiej pani. Nie męczyła ręczną pracą swych delikatnych palców, miała swój własny pokój, jadała osobno; wolno jej było kształcić się, jak jej się podobało.

— Dobrze... ale, czy byliśmy dla niej dobrzy? W każdym razie, nawet córka Boldwooda jest istotą z krwi i kości, mogącą czuć i cierpieć. A czy traktowaliśmy ją choć trochę życzliwie?

— Nie umiem ci odpowiedzieć w liczbie mnogiej. Co do mnie, wiem, że byłam dla niej zawsze grzeczną.

— Grzeczną, tak, to trafne określenie. Ale zdaje mi się, że są natury, które na samej grzeczności poprzestać nie mogą. Są dusze, buntujące się przeciw brakowi cieplejszego, serdeczniejszego żywiołu w otaczającej ją atmosferze. A mama nic nie zrobiła, aby jej życie umilić.

— Co to znaczy, Wiktorze, że mi takie kazanie prawisz?

— Matko, ja tylko czuję wyrzut sumienia. Wielki Boże! jeśliśmy ją nad brzeg przepaści przywiedli? Toż ona nie zna świata więcej, niż pięcioletnie dziecko. Ale może nie poszła dalej, jak do Wernera. Pójdę tam zobaczyć.

— Ty sam pójdziesz?

— Tak, wolę pójść sam. Nie będę miał chwili spokoju, dopóki jej nie znajdę. Obchodziłem się z nią niegodziwie, ja, który wiedział, jak bardzo biedny mój brat ją kochał. Przez pamięć na niego powinienem był być dla niej dobrym. Ale wywierała na mnie jakiś dziwnie drażniący wpływ; budziła we mnie coś złego. Bylem ją tylko znalazł u Wernera.

— Znajdziesz, znajdziesz i to zrobisz, że urośnie w pychę, gdy zobaczy, że sobie tyle z niej robisz. Poślij lepiej kogo z kredensu.

— Nie, pójdę sam. Potrzebuję się przejść trochę.

I poszedł, bo był jednym z tych ludzi, którzy dla tego, że są słabi, chcą się okazywać samowolnymi. Niewymowną ulgę sprawiło mu to, że się wydostał na świeże powietrze, z pod chłodnego, pytającego spojrzenia matki. Nigdy w życiu nic go tak nie wstrząsnęło, jak ucieczka tej dziewczyny. Była ona dla niego niczem, zupełnie niczem — mówił sobie: to tylko sumienie go dręczyło. Za daleko się zapędził w swoich uprzedzeniach, w swojej antypatji. A dziś poszedł jeszcze dalej; znieważył bezbronną dziewczynę. Cóż go to obchodziło, jeżeli, rzeczywiście, chciała sobie zdobyć bogatego męża, dom, stanowisko? O cóż on się miał tu gniewać?

Jeżeli ją znajdzie u Wernera, upokorzy się przed nią, przeprosi za swój nieusprawiedliwiony gniew, przyrzeknie lepsze obejście na przyszłość.

Lampa paliła się w izdebce starego nauczyciela, ale był on sam tylko. Nie wiedział jeszcze o ucieczce Stelli i w najwyższym stopniu zmartwił się, usłyszawszy tę nowinę. Nie, ona się przed nim nigdy nie skarżyła, ale on wiedział, że nie była szczęśliwą od czasu śmierci swego dobrodzieja.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Teatr — koncerta — widowiska.

O pannie Czaki z powodu jej dalszych gościnnych występów, nic nad to powiedzieć nie możemy, cośmy już w poprzednim numerze napisali. Artystka warszawska występuje w sztukach już ogranych, więc nie nastręczają się inne uwagi, a jakkolwiek obsada tych sztuk, z powodu zmian zaszłych w naszym personalu, uległa także zmianie — uważamy za stosowne wstrzymać się od oceny gry nowo obsadzonych ról. bo obsada ta czasowa, lub też na prędce dokonana Powiemy tylko, że *Pan Damazy* źle wyszedł na tej zmianie, *Safanduły* także szwankowały, również, jak ucierpiała wznowiona komedja *Pozytywni*. Więc tedy panna Czaki wystąpiła dziesięć razy i ma pożegnać nas — grała w *Dworze w Władkowicach, Panu Damazym, Końcu Sodomy, Gęsiach i gąskach, Safandułach, Naszych poczciwych wieśniakach* i *Pozytywnych;* po dwa razy w *Panu Damazym, Gęsiach i gąskach* i *Pozytywnych*. Tyle o występach panny Czaki.

Słóweczko o czem innem.

Lwów, a, właściwie, sfery kolo teatru kręcące się, nazywają w Warszawie „gniazdem os...". Czy, doprawdy. niesłuszna ta nazwa?... Kto się w tych naszych teatralnych stosunkach nie obracał, ten nie ma, rzeczywiście, pojęcia, co to jest — a jeśli sądzić chce na podstawie ogólnych ludzkich dobrych i ujemnych czynników, to będzie ślepym, sądzącym o kolorach..

Owoż, umieszczenie portretu w naszem piśmie panny Czaki i osobnego artykułu o niej, poruszyło, wyrażając się z warszawska, „gniazdo os"... Posypały się więc anonimy i szmermele pokątne, na gębę... Donosiła jakaś poczciwa dusza, że „kuta warszawianka" wzięła lwowskich dziennikarzy „na kawał" — ktoś nawet nam napisał: „dla *swoich* nie ma uznania, dla *cudzych* portrety, kadzidła aż do przesady"...

Rany boskie! a to co?... Patrjotyzm!...

Ni mniej, ni więcej patrjotyzm z za kulis teatralnych!... Wprawdzie, oparty na ściślejszej jeografji, wprawdzie, dobrze to spłowiale, jeszcze może z garderoby nieboszczyka Kamińskiego — ale zawsze patrjotyzm, tak często miętoszony i obrażany — przez kogo?... Albo ja wiem!...

Oczywiście, na to wszystko machnąć ręką — i koniec; powiedzieć coś „na stronie", jeszcze dosadniejszego — i basta.. Co zaś do owego patriotyzmu, właściwie „lwowsko-aktorskiego" patrjotyzmu, to zalatuje on, nietylko parafją, ale i czem innem... Może później jeszcze o tem — teraz dosyć..

Dwóch, czy nawet trzech jakichciś młodych panów debiutowało na lwowskiej scenie. Przechodzimy nad nimi do porządku dziennego...

Czytamy w „Dzienniku Polskim": „W katedrze, podczas mszy niedzielnej o godzinie 12. usłyszeliśmy po raz pierwszy piękny śpiew na chórze: dwa świeżutkie, bardzo dobrze postawione głosy. Były to panny Emilia *Bauchówna* i Wanda *Chulawska*, obie uczennice pani C. *Mainardi*, warszawianki, nauczycielki śpiewu, osiadłej w naszem mieście. Pani Mainardi jest uczennicą mistrza Francesca Lamperti, niedawno zmarłego, a po siedmioletniej nauce u tegoż. była primadonną oper włoskich.

Dzień i noc 3 aktową operetkę Lecoqu'a przedstawiono na naszej scenie po raz pierwszy d. 19. maja Najodpowiedniejszem dla tej operetki określeniem będzie: jest zgrabną operetką, przyjemną pod względem muzycznym z dość humorystycznym librettem. Niektóre ustępy, jak np. „Jowiszu nasz" i o słowiku i pliszce, wcale ładne, choć ten drugi, bynajmniej, nieoryginalny. Całość robi dobre wrażenie, zwłaszcza też, że wykonanie *Dnia i nocy* było bardzo, w ogóle staranne, składne i odznaczało się werwą. Główne role kobiece przypadły paniom: Radwan i Kliszewskiej — odegrane i odśpiewane zostały z wdziękiem, a piosnkę o słowiku i pliszce musiały artystki, po hucznych oklaskach, powtarzać Amantem bohaterskim w tej operetce był p. Jerzyna — śpiewał bardzo dobrze. Główne komiczne role spoczywały w rękach panów Skalskiego i Myszkowskiego i, naturalnie wywoływały, co chwila humeryczne wybuchy śmiechu — kuplety bisowano.

Chóry w scenach zbiorowych harmonijną stanowiły całość. Wystawa ładna. Reżyserja bardzo staranna.

Różne sprawy publiczne i prywatne.

Otrzymujemy pismo następujące: „Prosimy o łaskawe umieszczenie naszego podziękowania. Czytelnia miejska w Kutach składa niniejszem serdeczne podziękowanie Wnemu p. dr. Wilhelmowi Holzerowi, adwokatowi krajowemu we Lwowie za „Gońca i Iskrę", które to czasopismo z jego łaskawej prenumeraty Czytelnia otrzymuje.

Z wysokiem poważaniem:

Zarząd „Czytelni miejskiej" w Kutach.

„Toast polski", książeczka pod tym tytułem wyszła właśnie w Cieszynie, nakładem księgarza tamtejszego Feitzingera. Będzie to bardzo miły i pożyteczny podręcznik dla tych, którym wypada wygłosić przy jakiejkolwiek sposobności toast, albo przemowę. Wydawca zebrał w nim 160 toastów, wznoszonych przy zaręczynach, na ucztach weselnych, toastów z okazji srebrnego i złotego wesela, na cześć żony, matki, starca, młodzieży, na cześć duchowieństwa, jubilata, gospodarza domu, nauczycieli, posłów, komitetu, wreszcie toasty

patrjotyczne i powinszowania. Książeczka urozmaicona jest ładnymi wierszykami, a zaleca się bardzo czystością języka, czem nie każda publikacja szląska może się poszczycić. Na wstępie znajdujemy krótką instrukcję o wznoszeniu toastów i wspomnienie o toastach w dawnej Polsce. Wydawca przyrzeka w przedmowie wydanie wzorowych mów wygłoszonych podczas wielkich uroczystości narodowych, mianowicie podczas jubileuszu Kraszewskiego, uroczystości Kopernika, Długosza, na zjazdach, wiecach i na pogrzebach sławnych ludzi.

Czytamy w lwowskim *Przeglądzie*: „Zakład hydropatyczny“ w Krynicy rozwija się z każdym rokiem coraz pomyślniej, a dowodem tego coroczne sprawozdanie, które wykazuje ustawiczny wzrost zakładu. W roku ubiegłym było w nim ogółem osób leczących się 668. a mianowicie 365 mężczyzn i 303 kobiet. Najwięcej przybyło do leczenia osób z cierpieniami układu nerwowego, dróg oddechowych i ze zboczeniami w odżywaniu, dalej z zakażeniami chronicznemi, z cierpieniami dróg moczowych, narzędzi krążenia i z przewlekłą rekonwalescencją, nakoniec z wrodzoną wątłością ustroju. Rezultat leczenia okazał się bardzo pomyślnym, bo na 668 chorych blisko 400 osiągnęło zupełne wyleczenie, a przeszło 200 znaczne polepszenie.

Zakład znajduje się w warunkach nadzwyczaj korzystnych dla leczenia wodą, klimat bowiem jest tam ożywczy, położenie zakładu w miejscu zacisznem w parku, wreszcie jest stosownie urządzony pensjonat, zaspokajający wszystkie potrzeby pacjentów, począwszy od mieszkania i pożywania, aż do rozrywek towarzyskich. — Zakład mieści dwa główne oddziały łaziebne: jeden dla pań, drugi dla mężczyzn; każdy zaś z nich składa się z obszernej sali, ogrzewanej, dobrze przewietrzanej i posiadającej wzorowe urządzenia, tudzież z kilku pokojów mniejszych z wannami. Poczekalnie, kasa, pokój ordynacyjny i gabinet do elektryzowania, masowania, zawieszań, inhalacyj i t. d. znajdują się w osobnym budynku, który połączony jest z zakładem obszerną krytą galerją.

Pensjonat zakładowy obejmuje 65 pokoi urządzonych z komfortem i wedle wymagań hygjeny, posiada nadto obszerne ogrody i rozliczne urządzenia, służące do rozrywek i hygienicznych ćwiczeń ciała. Na czele zakładu stoi znakomity lekarz dr. Henryk Ebers“.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Gustaw Hor. Ku. „Czy wróci? i „Znam“ nie będą drukowane — i myśl spowszedniała i forma zaniedbana

L w Krakowie. Zasadniczo jesteśmy przeciwnikami, a tamowanie inicjatywy i samodzielności jednostek, uważamy za szkodliwe dla ogólnych interesów społeczeństwa.

Q — q. Bardzo to pięknie, ale kontusz i czamara nie stanowią jeszcze patrjotyzmu.

Wieszczka. „Ach róży, ach róży“!... tak śpiewają, ale śpiewają także: „ach chleba, ach chleba“!..

Butny. „Kolosalna blaga“ — drukowaną nie będzie.

J. D. D. w C. Starych wróbli na plewę się nie łapie, a nas na frazesy.

Pani Lipczyńska w Grand-Rapids (Ameryka). Pięć dollarów otrzymaliśmy — prenumerata szanownej pani zapłacona do dnia 1. maja b. r.

Wbny ks. Dąbrowski w St. Hedwig Texas (Ameryka). Dwa dollary otrzymaliśmy — prenumerata zapłacona jest teraz do 1. kwietnia b. r.

Pan F. Ich... we Lwowie. Nadesłanego listu nie umieścimy. Pański list także jest źle pisany po polsku; nie pisze się „nieniejszego“ i „ktury“...

Nadesłane.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.

Illustracje odbite w litografji A. Plutera we Lwowie, ulica Kopernika l. 17.